

ŻYCIE DUCHOWE

ZIMA 81/2015

www.zycie-duchowe.pl

Ojciec Pio

Wydawca

Prowincja Polski Południowej
Towarzystwa Jezusowego,
Wydawnictwo WAM

Zespół redakcyjny

Jacek Siepsiak SJ (redaktor naczelny),
Marek Blaza SJ, ks. Krzysztof Grzywocz,
Dariusz Kowalczyk SJ, Waclaw Królikowski SJ,
Stanisław Morgalla SJ, Lucyna Słup,
Katarzyna Stokłosa (sekretarz redakcji)

Układ graficzny, układ typograficzny i projekt okładki

Pracownia Register
oraz Anna Jędrusiak

Autor zdjęć (z San Giovanni Rotondo) na okładce i wewnątrz numeru

Józef Augustyn SJ

Superiorum permissu

ISSN 1232-9460

Adres redakcji

ul. Kopernika 26, 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 292

e-mail: Zycie.Duchowe@wydawnictwowam.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów
i zmiany tytułów. Materiałów niezamówionych
nie odsyłamy.

Numer zamknięto 24 listopada 2014 roku.

ŻYCIE DUCHOWE

ZIMA 81/2015

OJCIEC PIO

Cezary Sękalcki Istota świętości Ojca Pio	5
Bogusław Piechuta ORMCap Grupy Modlitewne Ojca Pio	12
Marek Wójtowicz SJ Życie i misja Ojca Pio	21
Marek Miszczyński OFMCap Dom Ulgi w Cierpieniu	28
Tomasz Protasiewicz OFMCap Nadzwyczajne zjawiska w życiu Mistyka z Gargano	37
Błażej Strzechmiński OFMCap Fenomen stygmatów	45
Renzo Allegri Rajski zapach	51
Robert Krawiec OFMCap Zmagania duchowe Świętego Kapucyna	57
Piotr Słabek Z listów „brata Pio”	69
Diane Allen Śmierć Ojca Pio	77

DUCHOWOŚĆ ĆWICZEŃ

Jan Ożóg SJ Dziennik duchowny	85
---	----

MODLITWA I ŻYCIE

Józef Augustyn SJ Maryja najlepszą Uczennicą swojego Syna	91
---	----

POMÓDL SIĘ

- Jacek Siepsiak SJ
O tym, jak Chrystus, Pan nasz, upomniał Piotra 101

Z HISTORII DUCHOWOŚCI

- Leon Nieścior OMI
O zmianie swoich postanowień 105
- Andrzej Ruszała OCD
Jubileusz św. Teresy od Jezusa 112
- Józef Andrasz SJ
Czyściec mistyczny Siostry Faustyny 119

ROZMOWY DUCHOWE

- Remigiusz Kalski SJ
Duszpasterstwo w Kirgistanie 127

ŚWIADECTWA

- Ewa Siuta CSFN
Owoce rekolekcji trzydziestodniowych 135

SŁOWO, OBRAZ, CZYN

- Wacław Oszejca SJ
Twarzą w twarz z Różewiczem 141
- Anna Woźniakowska
Tragizm i humanizm Szostakowicza 149
- Przemysław Toboła
Kardiokomandosi 155

LEKTURY 161

OGŁOSZENIA 171

Drodzy Czytelnicy!

W poprzednim numerze dotychczasowy redaktor naczelny pisma Józef Augustyn SJ podziękował Wam za lata wspólnego korzystania z treści, jakimi można było „pokrzepić się” na łamach „Życia Duchowego”.

Ja ze swej strony, jako nowy redaktor naczelny, pragnę serdecznie podziękować Ojcu Józefowi za tak wiele wysiłków i talentów włożonych w prowadzenie naszego kwartalnika. Fachowa opieka nad redakcją oraz szerokie kontakty w świecie niewątpliwych autorytetów życia duchowego zaowocowały publikacjami odpowiadającymi na najbardziej wyrafinowane potrzeby Czytelników.

Mam nadzieję, że sprostamy tym wymaganiom i że „Życie Duchowe” dalej będzie ubogacać swoimi publikacjami panoramę poważnej i głębokiej dyskusji użyźniającej nasze serca na przyjęcie Słowa Bożego.

Prosimy o modlitwę i wsparcie dla niełatwej sztuki łączenia tego, co głębokie, z tym, co trafia do współczesnego odbiorcy.

Jacek Siepsiak SJ



Renzo Allegri

Rajski zapach

Człowiek¹, który nosił na swym ciele znaki Męki Pańskiej, a także nader często kontaktował się z przybyszami z zaświatów, bez wątplenia powinien mieć w sobie cząstkę Raju. Tak też w istocie było. Od osoby Ojca Pio emanowała przyjemna woń, którą wielu zwało właśnie „rajskim zapachem”; za życia Ojca Pio rozpisywali się o tym bez końca jego biografowie i liczni dziennikarze. Był to nad wyraz ciekawy fakt, potwierdzony tysiące razy. Nie tylko przez wierzących czy też wielbicieli Ojca Pio, lecz również przez jego zaciekłych wrogów.

Zapach ten pojawiał się z nagłą, bez konkretnej przyczyny. Ustępował po kilku chwilach lub nawet po paru godzinach. Mogły go odczuć w tym samym czasie tłumy ludzi. Niekiedy był intensywny i przenikliwy, niekiedy zaś łagodny i nieuchwytny. Nie wszyscy jednocześnie i jednakowo odczuwali tę przedziwną woń, nawet gdy przebywali w tym samym miejscu czy stali jeden przy drugim. Dla niektórych był to zapach róż, dla innych fiołków, jaśminu, kadzidła bądź lawendy. Wszystkim jednakże przynosił odczucie wielkiego spokoju i pogody ducha.

Zjawiska tego nie dało się wyjaśnić w żaden logiczny sposób. Ojciec Pio nie używał perfum. W okresie, gdy fenomen ten odnotowano po raz

¹ Fragment książki: R. Allegri, *Cuda Ojca Pio*, Wydawnictwo WAM, Kraków 2013, s. 49-57.

pierwszy, małeńki klasztor w San Giovanni Rotondo był brudną ruderą, a zatem trudno było tam o wonne zapachy.

Doktor Festa, jeden z lekarzy, którzy w latach dwudziestych badali stygmaty Ojca Pio, w swych wspomnieniach zanotował: „Warunki higieniczne w klasztorze w San Giovanni Rotondo dalekie były od zadowalających, chociażby z braku wody i kanalizacji. Mnisi starali się na wszelkie sposoby przeciwdziałać ewentualnym infekcjom, wlewając do latryn roztwór nieoczyszczonego fenolu. Ojciec Pio roztworem takim polewał często podłogę w swej celi”.

Uciekał się do tegoż środka, gdyż również w jego celi czyhały niebezpieczeństwa, jakie niósł ze sobą brud. Jego odzież, również sama jego osoba zapewne przesiąknięta była ostrą wonią kwasu karbolowego. A przecież stykający się z nim ludzie czuli jedynie ów przedziwny, bardzo miły zapach. [...]

Głosy krytyki i drwiny

Zjawisko mistycznych zapachów miało w życiu Ojca Pio znaczenie ogromne, lecz po części negatywne, gdyż wywołało falę krytyki i drwin. Wrogowie Ojca Pio fakt ten wykorzystywali za każdym razem, gdy chcieli udowodnić, iż jest on oszustem i symulantem. Powtarzali wówczas, iż to on „wywołuje” owe zapachy, używając odpowiednich substancji chemicznych. Powiadali, że naiwne i histeryczne kobiety, które go otaczały, tak bardzo podatne były na sugestię, że czuły w powietrzu nieistniejące zapachy i gotowe były uznać za znak boski woń zwykłej lawendy rozsiewaną wokół przez kogoś z ukrycia.

Kiedy w 1967 roku po raz pierwszy przybyłem do San Giovanni Rotondo, również i ja śmiałem się, słysząc opowiadania o zapachach Ojca Pio. Byłem wtedy służbowo. Wysłany zostałem do San Giovanni Rotondo z gazety, dla której miałem napisać artykuły o „bracie ze stygmatami”.

W owym okresie Ojciec Pio raz jeszcze znalazł się w oku cyklonu. Watykan poddał go nie wiadomo którym już z rzędu badaniom, zakończonym i tym razem negatywnym orzeczeniem. Ojciec Pio uznawany był przez wielu za oszusta, zaś wszystkie tajemnicze zjawiska z nim związane, włącznie ze stygmatami, określano jako fałszywe i niemające nic wspólnego ze sferą nadprzyrodzoną. Katolicy mieli podporządkować

się zarządzeniom kościelnym: kto udawał się do San Giovanni Rotondo na spotkanie z Ojcem Pio, popełniał grzech.

Jednakże zarządzenia Świętego Oficjum nie zrobiły na ludzkich rzeszach większego wrażenia. Codziennie klasztor w San Giovanni Rotondo brany był szturmem przez tysiące pielgrzymów z różnych stron świata. Wśród nich nie brakowało księży i zakonników. To była prawdziwa bomba, dlatego i mnie wysłano na miejsce, bym przeprowadził dziennikarskie rozpoznanie.

Zabrałem się do dzieła, wyzbywszy się wszelkich uprzedzeń. Postawiłem sobie za cel opisanie zdarzeń i faktów, i to z jak największą dokładnością. Nie byłem jednak skłonny popaść w naiwną łatwowierność i bezkrytycznie przyjąć opowieść o zapachach Ojca Pio. Uważałem, iż jest ona wymysłem fanatyków.

Na Mszy świętej u Ojca Pio

Przyjechałem do San Giovanni Rotondo w pierwszych dniach września. Powiedziano mi, że jeśli chcę zobaczyć Ojca Pio, muszę pójść na Mszę, którą odprawia o piątej rano. Wstałem o świcie. Z wiszącym u szyi aparatem fotograficznym wszedłem do przyklasztornego kościoła Ojców Kapucynów, zapelnionego już wiernymi.

Przeciskałem się między ludźmi, by znaleźć jak najlepsze miejsce na wykonanie zdjęć w czasie liturgii. Chciałem sfotografować Ojca Pio w różnych ujęciach, tak by mieć pierwszy plan nie tylko całej jego osoby, lecz przede wszystkim jego twarzy i jego dłoni. Chciałem również wykonać długie rzuty na tłum wypełniający kościół i na ołtarz z celebrującym Ojcem Pio. Z trudem przesuwalem się wśród tłumu. Wszyscy okazywali jednak wyrozumiałość, widząc bowiem mój pokaźny aparat fotograficzny, domyślali się, kim jestem, i nie utrudniali mi pracy.

Msza św. rozpoczęła się dokładnie o piątej rano. Ojciec Pio wyszedł z zakrystii ubrany w szaty liturgiczne i posuwając się chwiejnym krokiem, przystąpił do ołtarza. Zobaczyłem wtedy Ojca Pio po raz pierwszy. Dokładnie obserwowałem go, nie odczuwając bynajmniej odrobiny emocji. Skupiony byłem na mej pracy.

Ojciec Pio miał na dłoniach rękawiczki bez palców, przykrywające jego rany. Wiedziałem, że w momencie Przeistoczenia ściągał je, toteż czekałem na tę chwilę, by sfotografować tajemnicze rany. Aby fotografie

wyszły jak najlepiej, ulokowałem się na prawo od ołtarza, możliwie najbliżej Ojca Pio. Dzieliło mnie od niego pięć, a może sześć metrów. Miałem bardzo dobry aparat fotograficzny marki japońskiej. Wymierzyłem już wcześniej naświetlenie; było zadowalające. Msza odprawiała się, a ja poruszałem się dyskretnie między ludźmi pogrążonymi w modlitwie. Wybierałem najdogodniejsze punkty kościoła, by zrobić jak najwięcej fotografii.

Ministrant potrzęsnał dzwonkiem. Nadszedł moment Przeistoczenia, najważniejszy w całej Mszy. Kapłan wymawiając słowa, jakie Chrystus pozostawił swemu Kościołowi, odnawia na ołtarzu misterium męki i śmierci Chrystusa. Wielu obecnych przyklęknęło. W całym kościele zapanowała głęboka cisza.

Niesamowita niespodzianka

Nagle poczułem w nozdrzach bardzo intensywną woń, mieszanię – jak mi się zdawało – zapachu fiołków i róż. Była ona silna i delikatna zarazem, przenikliwa, ale i łagodna. Istna rozkosz. Nie przemknęło mi nawet przez myśl, że mógłby to być zapach Ojca Pio. Zaabsorbowany całkowicie wykonywaniem zdjęć, o niczym innym nie myślałem. Zresztą już od początku zjawisko przedziwnych zapachów Ojca Pio uważałem za nazbyt absurdalne, by zaprzętać sobie nim myśli.

Zapach nie dawał mi spokoju. Zacząłem rozglądać się wokół. Dyskretnie sprawdziłem, czy nie były to perfumy którejś ze stojących obok mnie pań. Nic takiego. Stałem tak odurzony ową wonią, dopóki nie usłyszałem dzwonka ministranta oznajmiającego koniec konsekracji chleba i wina. Wszyscy wstali, ja również.

Dalej próbowałem dociec, wąchając, skąd wziął się ów zapach. Obeszłem osoby stojące na lewo i na prawo ode mnie. Dopchałem się nawet do środka kościoła. „Obwąchałem” przede wszystkim najelegantsze panie. Bez skutku. Zapach czułem z tą samą intensywnością w każdym punkcie kościoła. Nie były to perfumy żadnej z osób, do których zbliżyłem się. „Zapewne braciszki rozpylili go z góry jakimś urządzeniem” – pomyślałem, spoglądając na sufit kościoła. W tym samym momencie przypomniałem sobie o „zapachu Ojca Pio”, zupełnie jakby umysł mój nagle został oświetlony błyskiem fleszu. „Czyżby to było to zjawisko, o którym wszyscy mówią?” – pytałem sam siebie.

Tkwiałem w jednym i tym samym miejscu, niczym skamieniały pośród wszystkich tych osób. Byłem oszołomiony. Nigdy, przenigdy nie pomyślałbym, że poczuję ten zapach i że będę go czuł tak wyraźnie. A przy tym byłem absolutnie pewny, iż nie są to perfumy którejs z stojących koło mnie kobiet.

Nie dałem za wygraną. Raz jeszcze zacząłem krążyć po kościele i węszyć, zupełnie jak pies policyjny. Poszedłem aż za ołtarz, by sprawdzić, czy przypadkiem zakonnik ze stygmatami nie ma jakiegoś rozpylającego ten zapach współnika.

Postanowiłem w końcu spytać innych, czy czują jakieś zapachy. „Przepraszam, czy państwo też czują ten dziwny zapach?” – pytałem półgłosem, by nie przeszkadzać w czasie nabożeństwa. Zagadnięci obrzucali mnie ganiącym spojrzeniem i ruchami głowy dawali negatywną odpowiedź. Niektóre z osób miały twarz zalaną łzami.

Podszedłem do kobiety, której wygląd i typ ubioru był oznaką, jak wynioskowałem, szczególnej dystynkcji i pewności siebie. Nie wyglądała na osobę skłonną do ślepej wiary. „Przepraszam, czy nie zdaje się Pani, że kościół wypełnił się nagle jakimś dziwnym zapachem?” – zagadnąłem. Spojrzała na mnie badawczo, po czym oznajmiła: „Owszem, wyraźnie czuję ten zapach. To zapach Ojca Pio. Często woń tę czuje się w momencie Przejścia. Ojciec Pio ściąga wtedy rękawiczki, a jego święte stygmaty roztaczają rajskie wonności”.

Plama ze skrzeplej krwi

Przypomniałem sobie o stygmatach. Zaplanowałem przecież, że sfotografuję je z bliska, a tymczasem owe zapachy rozproszyły moją uwagę. Podszedłem jak najbliższej ołtarza, ustawiłem się w miejscu, z którego dobrze było widać uniesione ręce Ojca Pio. Włączyłem aparat fotograficzny i skierowałem obiektyw na dłonie sędziwego kapłana.

Wierzch jego lewej ręki i dłoni prawej – które dość dobrze widziałem z mojego miejsca – były jednym wielkim strupem ze skrzeplej krwi. Rany te nie były ani piękne, ani czyste. I jak wszystkie rany, winny były wydzielać nieprzyjemną woń, a przecież odurzający mnie zapach, który roznosił się po całym kościele, zdawał się rozchodzić właśnie z tychże ran.

Zjawisko dało się wyraźnie odczuć z chwilą, kiedy Ojciec Pio tuż przed konsekracją ściągnął swe rękawiczki, by wziąć do ręki hostię i przeistoczyć

ją w Ciało Chrystusa. Zapach ustawał zazwyczaj – jak dowiedziałem się później od obeznanych z tą sprawą – gdy Ojciec Pio zakładał znów rękawiczki, chowając przed wzrokiem ludzkim swe stygmaty.

W czasie mojego pierwszego pobytu w San Giovanni Rotondo widziałem Ojca Pio jeszcze kilka razy. Zobaczyłem go ponownie rok później, kiedy powróciłem tam, bo miałem przygotować nowe artykuły o bracie ze stygmatami. Tym razem nie poczułem zapachu Ojca Pio. Mimo że od owego wydarzenia z zapachami minęło wiele lat, do dziś przeżycie to świetnie pamiętam.

[...] Być może, stałem się ofiarą autosugestii. Poznałem jednakże setki osób, które „poczuły” zapach Ojca Pio, a wśród nich nie zabrakło naukowców, lekarzy, adwokatów. Niektórzy byli absolutnymi agnostykami; zainteresowali się Ojcem Pio ze zwykłej ludzkiej ciekawości bądź z racji swego zawodu. Trudno byłoby uznać, iż wszyscy oni poczuli owe wonności pod wpływem autosugestii.

Wszystkie osoby, które z jakiegoś powodu szukały kontaktu z Ojcem Pio, a zwłaszcza te, które prosiły go o łaski – doświadczyły owego zapachu.

Tłumaczyła Loretta Micek Bartalini



Duszpasterstwo w Kirgistanie

Z Remigiuszem Kalskim SJ,
misjonarzem pracującym
w Kirgistanie, rozmawia
Józef Augustyn SJ

Od kilku lat pracuje Ojciec w Kirgistanie. Czy może nam Ojciec nieco przybliżyć ten kraj?

W Kirgistanie pracuję od 2010 roku. To kraj, który odzyskał niepodległość w 1991 roku, po upadku Związku Radzieckiego. Graniczy z Chinami i trzema innymi postsowieckimi republikami: Kazachstanem, Tadżykistanem i Uzbekistanem. Kirgistan odzyskał niepodległość, ale wpływy Rosji są tu nadal widoczne. Rosja stara się odzyskać swoją pozycję w tej części kontynentu i o ile takie kraje jak wspomniany Uzbekistan, Tadżykistan czy Turkmenistan prowadzą politykę niezbyt przyjazną wobec Rosji, o tyle Kirgistan, jako kraj dosyć biedny, jest otwarty na współpracę z Rosją. Liczy się z jej polityką, przede wszystkim gospodarczą, zgadza się na stacjonowanie na swoim terytorium rosyjskich wojsk.

W przeszłości natomiast, w latach dwudziestych ubiegłego stulecia, kiedy w Rosji trwała wojna domowa między bolszewikami a przeciwnikami rewolucji październikowej, Kirgizi walczyli przeciwko władzy sowieckiej i włączeniu ich państwa do Kraju Rad. Ostatecznie jednak w 1936 roku powstała Kirgiska Socjalistyczna Republika Radziecka. Jej stolicą było miasto Frunze (dziś Biszkek), nazwane tak od nazwiska Michaiła Frunzego, rewolucjonisty i działacza bolszewickiego, który w latach wspomnianej wojny był jednym z dowódców Armii Czerwonej i krwawo

tlumił bunt Kirgizów. Paradoksalnie w czasach Rosji Radzieckiej Frunze był w Kirgizji czczony jako bohater narodowy, ten, który zaprowadził tam władzę sowiecką.

Ilu mieszkańców ma dziś Kirgistan?

Nieco ponad pięć milionów. Tak przynajmniej podają oficjalne statystyki. Te same statystyki mówią jednak o milionie obywateli Kirgistanu, zwłaszcza mężczyzn, którzy na stałe przebywają w Rosji. To właśnie przede wszystkim w Rosji Kirgizi szukają pracy. Wyjazd tam jest dla nich o tyle łatwy, że w czasach Związku Radzieckiego językiem urzędowym był w Kirgistanie rosyjski, wielu więc zna ten język. Kirgizi nie mają też większych problemów z uzyskaniem pozwolenia na wyjazd do Rosji czy na pracę w Rosji, a nawet z otrzymaniem rosyjskiego obywatelstwa.

Z czego utrzymuje się przeciętny mieszkaniec Kirgistanu?

Kirgistan to kraj w ponad dziewięćdziesięciu procentach pokryty górami. Jego mieszkańcy utrzymują się przede wszystkim z pasterstwa i hodowli owiec. W wielu rodzinach pieniądze przysyłają pracujący na rosyjskich budowach młodzi synowie czy mężowie. W czasach Rosji Radzieckiej na terenie Kirgiskiej Republiki funkcjonowało mnóstwo zakładów przemysłowych. W samym Dżalalabadzie, mieście na południu kraju, w którym teraz mieszkam, było sześć zakładów przemysłowych, między innymi fabryka sprzętu technicznego, zakłady zbrojeniowe, rozwijał się przemysł lekki. Po upadku Związku Radzieckiego zakłady przeszły w ręce Kirgizów, ale oni nie potrafili ich utrzymać.

Dlaczego?

Trudno jednoznacznie ocenić. Być może nie byli przygotowani, być może zabrakło przedsiębiorczości i sprytu, może zgubiła ich żądza zysku. Znam przypadek, że dyrektorzy powoli wysprzedawali Chińczykom maszyny z zakładu przetwórstwa bawełny. Zostały tylko mury fabryki i skończyła się praca. W ostatnich latach, zwłaszcza na południu kraju, wiele małych zakładów i przedsiębiorstw upadło. Trochę lepiej jest pod tym względem na północy, ale przemysł nie jest w Kirgistanie

zbyt rozwiniętą gałęzią gospodarki. Stare zakłady zamknięto, a nowe trudno otworzyć, także ze względu na biurokrację i korupcję. Niewielu ma odwagę wybudować nową fabrykę, bo wie, że będzie musiało stawić czoła licznym komisjom, z których każda znajdzie jakieś niedociągnięcia i każdej trzeba będzie zapłacić łapówkę.

Niestety wśród Kirgizów dominuje krótkowzroczne myślenie nastawione na szybki zysk, a to nie sprzyja tworzeniu miejsc pracy. Niedawno rozmawiałem z członkiem jednej z amerykańskich fundacji, który w Kirgistanie prowadzi doradztwo prawne i konstytucyjne. Mówił, że od jakiegoś czasu nie uczestniczy w spotkaniach organizowanych dla polityków średniego pokolenia, którzy sprawują władzę w Kirgistanie, ale cały swój wysiłek skupia na młodzieży. Po pięciu latach prowadzenia różnych szkoleń doszedł do wniosku, że nie da się zmienić postsowieckiej mentalności ludzi w wieku około pięćdziesięciu, sześćdziesięciu lat, którzy urodzili się w czasach Związku Radzieckiego i przez Rosję Radziecką zostali ukształtowani. Uznał, że to strata czasu i że trzeba inwestować raczej w młodzież.

Czy młodzi ludzie są otwarci na zmiany? Chcą się uczyć i rozwijać?

Problem polega na tym, że w Kirgistanie, poza wąską grupą rządzących, ludzie są biedni. Trudno im zdobyć wykształcenie czy zapewnić je swoim dzieciom. Inna sprawa, że w samym Kirgistanie tylko nieliczne wyższe szkoły reprezentują jakiś poziom nauczania, na przykład dwie uczelnie w Biszkeku: Uniwersytet Amerykański i Uniwersytet Słowiański. Nauka w nich jest jednak odpłatna. Trudno też się dostać na te uczelnie, nawet zdolnej młodzieży. Pokutują niestety pewne braki w wykształceniu na poziomie podstawowym i średnim. W ostatnich latach organizowane są stypendia dla zdolnej młodzieży, która może wyjechać na studia do Niemiec czy Stanów Zjednoczonych. Taką możliwość mają jednak tylko nieliczni. Tak naprawdę młodzi ludzie w Kirgistanie nie mają za wiele możliwości.

Czym zatem żyje kirgiska młodzież?

Młodzi dostosowują się do sytuacji. Podporządkowują się „systemowi”, robią to, co ich dziadkowie i rodzice. Najczęściej prowadzą proste życie

górali. Nie jest jednak tak, że nie tęsknią za czymś więcej. Są otwarci na zmianę. Bywa jednak, że ich tęsknota za „lepszym życiem na Zachodzie” jest nieco naiwna, ukształtowana przez amerykańskie filmy, których bohaterowie żyją sobie bez większych problemów i dostatnio. Najczęściej jednak te tęsknoty pozostają w sferze marzeń. Cena biletu lotniczego do jakiegokolwiek kraju przekracza ich możliwości. By go kupić, potrzebny byłby kilkuletni dochód całej rodziny.

Kirgistan to kraj przede wszystkim muzułmański.

Ponad osiemdziesiąt procent mieszkańców to wyznawcy islamu. Bardziej religijni są żyjący na południu Uzbekcy, którzy regularnie chodzą do meczetów i pięć razy dziennie odmawiają namaz. Ich religijność przekłada się również na obyczajowość. Najbardziej widocznym przejawem tej obyczajowości jest zasłanianie przez większość Uzbekek twarzy burką. Natomiast wśród Kirgizek tylko niewielka część używa burek, nieliczne też noszą na głowie chusty. Z kolei wśród Kirgizów, zwłaszcza średniego pokolenia, są tacy, którzy nie unikają alkoholu, porzucają swoje żony i dzieci. Z drugiej strony, coraz więcej z nich chodzi do meczetów, których liczba w ostatnich latach niemal się podwoiła.

Towarzyszy temu pewna radykalizacja. Słychać głosy mówiące o konieczności stworzenia w Kirgistanie państwa islamskiego. Zwolennicy kalifatu podkreślają, że w ciągu dwudziestu lat żadna władza nie wprowadziła kraju na drogę rozwoju. Także wielu spośród młodych uważa, że państwo islamskie to jedyna szansa dla Kirgistanu. Z tym że nie jest to głos mocny. Zwolennicy państwa islamskiego to raczej nikły procent społeczeństwa. Zdecydowana większość młodych Kirgizów nie ma tak radykalnych poglądów. Owszem, mówią, że są wyznawcami islamu, ale w ich życiu w niczym się to nie przejawia: nie chodzą do meczetu i nie odmawiają obowiązkowych modlitw. Sam byłem tego świadkiem w czasie obozów językowych, które organizujemy dla kirgiskiej młodzieży w naszym domu rekolekcyjnym nad jeziorem Issyk-kul¹. Z około czterdziestu kursantów *namaz* odmawiała tam pojedyncze osoby.

¹ Na temat domu rekolekcyjnego nad jeziorem Issyk-kul por. *Praca misyjna w Kirgistanie. Z Damianem Wojciechowskim SJ rozmawia Józef Augustyn SJ*, „Życie Duchowe”, 64/2010, s. 135-144.

Czy rzeczywiście kalifat byłby rozwiązaniem?

Nie sądzę, by wprowadzenie państwa islamskiego poprawiło sytuację ekonomiczną Kirgistanu, a o to przede wszystkim chodzi radykalizującej się młodzieży.

Jak wielu chrześcijan żyje w Kirgistanie?

Chrześcijanie to około dwunastu procent mieszkańców kraju. Nieco ponad dziesięć procent stanowią prawosławni, niecałe dwa – protestanci. Katolicy to zaledwie jedna dziesiąta procenta. W całym kraju mamy trzy katolickie parafie, w których obecnie pracuje czterech księży i jeden biskup. W niedziele na Msze święte do wszystkich naszych kościołów i kaplic przychodzi około trzystu, czterystu wiernych. W Dżalalabadzie, gdzie jestem proboszczem, w niedzielnej Eucharystii uczestniczy około dwudziestu osób. Nie mamy jeszcze w Kirgistanie diecezji. Cały kraj stanowi jedną Administraturę Apostolską z siedzibą w prokatedrze św. Michała Archanioła w Biszkeku. Naszym administratorem jest obecnie bp Mikołaj Messmer, jezuita.

Dwadzieścia osób na Mszy to niewiele w porównaniu z polskimi warunkami.

Staramy się być wierni wezwaniu Jezusa: „Idźcie na cały świat i nauczajcie wszystkie narody” (por. Mt 28, 19). Właśnie te słowa są dla nas zasadniczym punktem odniesienia w misyjnym zaangażowaniu. Poza tym nasza parafia w Dżalalabadzie powstała niedawno. W mieście mieszka niewiele osób, które utożsamiają się z katolicyzmem. Nie ma tam na przykład potomków Niemców Nadwołżańskich czy Polaków zesłanych tu przez Stalina. Potomkowie zesłańców tworzą trzon dwóch pozostałych naszych parafii w Biszkeku.

Tak mała liczba wiernych może rodzić pytania, czy w ogóle konieczne jest, by na stałe przebywał tam ksiądz, czy do kierowania wspólnotą i koordynacji prowadzonych przez nią różnych dzieł, przede wszystkim charytatywnych, nie wystarczyłaby praca świeckich katechistów i wolontariuszy. Na razie jednak brakuje osób, które mogłyby się tym zająć. Niewielu też przyjeżdża do Kirgistanu świeckich wolontariuszy

z zagranicy gotowych zostać na dłużej niż miesiąc czy dwa miesiące wakacji. Nie mamy świeckich misjonarzy, którzy chcieliby pracować tam, gdzie nie ma katolików lub jest ich niewielu. Dlatego jeśli ksiądz by wyjechał, ci ludzie zostaliby sami.

Inaczej jest w przypadku protestantów, którzy mają wielu świeckich misjonarzy i posyłają ich tam, gdzie Ewangelia Jezusa jeszcze nie dotarła. Traktują to wręcz jako swój obowiązek. Uważają, że właśnie tam potrzebna jest ich obecność, że tam trzeba głosić Dobrą Nowinę. Protestanci w Kirgistanie są pod tym względem bardziej aktywni niż katolicy. Chodzą od wioski do wioski, od domu do domu i w ten sposób starają się głosić Jezusa i zdobywać nowych wyznawców. My natomiast trochę liczymy, że nowi wierni sami przyjdą. To zdarza się rzadko, choć nie można powiedzieć, że nie ma takich przypadków, bo w zeszłym roku były dwie osoby, które odkryły dla siebie wiarę katolicką i chciały przyjąć sakrament chrztu.

Przyznam, że postawa protestantów mi imponuje. Protestanci misjonarze często narażają się islamskim władzom, muszą stawić czoła licznym nieporozumieniom, by nie powiedzieć niebezpieczeństwom. Wchodzą nieraz w konflikt, ostro dyskutują z islamskimi mułłami, zdarza się, że zostają pobici przez wyznawców islamu. Wszystko jednak znoszą dla Ewangelii. Ujemną stroną tej postawy jest to, że Kirgizi uogólniając, wszystkich chrześcijan oskarżają o prozelityzm, ponieważ protestanckie akcje są najgłośniejsze i dla nich najbardziej widoczne. Myślę jednak, że w pewnych kwestiach powinniśmy się od protestantów uczyć.

Czy akcje ewangelizacyjne prowadzi też Kościół prawosławny?

Kościół prawosławny nie prowadzi żadnych działań, które zmierzałyby do pozyskania nowych wyznawców. Jest to umotywowane historycznie. Kiedy w XIX wieku plemiona kirgiskie w obawie przed Chińczykami prosiły cara Rosji o wprowadzenie na ich teren rosyjskich wojsk, rosyjscy osadnicy nie mogli zajmować się ewangelizacją. Takie były ustalenia z carem i tak zostało do dziś. Kościół prawosławny pozostaje w kręgu mieszkających w Kirgistanie Rosjan, którzy coraz częściej wyjeżdżają z Kirgistanu do Rosji.

Myślę, że najważniejsza jest cierpliwość. Niewiele zmieniają tak zwane szybkie ruchy. Nasza działalność w Kirgistanie, by mogła przynieść owoce, musi trwać latami. Nie wiem, czy nie jest to kwestia nawet kilku pokoleń. Pobyt w Kirgistanie uczy mnie zatem cierpliwości, ale też umacnia w wierze. Widzę bowiem, że Bóg działa w życiu naszych wiernych. Ci ludzie mają naprawdę wiele problemów, muszą borykać się z wieloma osobistymi biedami. Na co dzień widzę jednak, jak Pan umacnia ich i przynosi im Odkupienie. Ewangelia Boga z nami, który towarzyszy człowiekowi, pociesza ich i umacnia na duchu. Mają się do kogo zwrócić.

Dlatego nie myślę o wyjeździe z Kirgistanu. Żniwo jest tam naprawdę wielkie. Parafia w Dżalalabadzie, której jestem proboszczem, to nie tylko samo miasto, ale obszar o powierzchni ponad stu pięćdziesięciu tysięcy kilometrów kwadratowych. To jak pół Polski. I nie ma tu – jak mówiłem – wielu kapłanów: kilku księży prawosławnych, ja i mój współbrat. Trzeba więc myśleć o zakładaniu nowych parafii i umocnieniu pozycji Kościoła katolickiego na tym terenie. W warunkach Kirgistanu warto dla tych starań pozyskiwać także większą liczbę świeckich wolontariuszy.



Wacław Oszajca SJ

Twarzą w twarz z Różewiczem

„Kiedy ktoś płacze, trzeba go przytulić”.
(Tadeusz Różewicz)¹

Spotkania z poetą

Tadeusza Różewicza (1921-2014) spotkałem dwa razy. Pierwszy raz w Poznaniu, na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, kiedy po wieczorze autorskim nocował w naszym domu zakonnym. Drugi raz w Warszawie, pod koniec zeszłego wieku, w hotelu. Ponieważ słaby ze mnie rozmówca, dla mojego interlokutora z tych spotkań zapewne niewiele wynikło. Dla mnie wiele. Nie tyle z tego, o czym była mowa, ile z tego, co działo się „pomiędzy”, z tego, co niosły ze sobą gesty i nastroje. Krótko mówiąc: z tego, co niosła ze sobą sfera pozawerbalna.

W Poznaniu Różewicz miał ciężką noc. Nie czuł się najlepiej i na dobitkę dostał nad ranem krwotoku z nosa. Przy śniadaniu jednak mówił o tym tak, jakby go to wszystko mało lub wcale nie dotyczyło. Natomiast intrygował go sam fakt nocowania w klasztorze i – jak to ujął – „na dodatek u jezuitów”. Z tego spotkania pozostał we mnie obraz człowieka niezmiernie łagodnego i otwartego, a raczej uprzejmego i wdzięcznego, który przed drugim człowiekiem czy przed zdarzeniem staje nieśmiało.

¹ T. Różewicz, *Wyjście*, Wrocław 2004, s. 73.

Warszawskie spotkanie potwierdziło to odczucie. Przyszedłem do hotelu, w którym gościł Różewicz, na jego zaproszenie. Czekał na mnie w holu. Zaprowadził do pokoju, posadził w fotelu i nieśmiało zapytał, czy może „z jezuitą napić się koniaku”. Tego się nie spodziewałem. W którymś momencie popatrzył na mnie, pomilczał dłuższą chwilę i powiedział jakoś tak: „To dziwne, ale mówię do księdza tak, jakby ksiądz był moim katechetą, jakbym mówił do swojego katechety”. Po chwili dodał: „Mówią o mnie, że jestem ateistą, a to takie staroświeckie [czy przestarzałe, dokładnie nie pamiętam] wyrażenie”.

Jest wreszcie jeszcze trzecie spotkanie, tyle że nie twarzą w twarz (choć nie wiadomo). To testament poety. Zawsze, kiedy czytam zapis czyjejś ostatniej woli, odnoszę wrażenie, że ten ktoś stoi przy mnie: „Moja ostatnia wola i prośba, jest moim pragnieniem, aby urna z moimi prochami została pogrzebana na cmentarzu ewangelicko-augsburskim przy kościele Wang w Karpaczu Górnym. Proszę też miejscowego pastora, aby wspólnie z księdzem Kościoła rzymskokatolickiego (którego jestem członkiem przez chrzest św. i bierzmowanie) odmówił odpowiednie modlitwy. Pragnę być pochowany w ziemi, która stała się bliska mojemu sercu, tak jak ziemia, gdzie się urodziłem. Może przyczyni się to do dobrego współżycia tych dwóch – rozdzielonych wyznań i zbliży do siebie kultury i narody, które żyły i żyją na tych ziemiach. Może spełni się marzenie poety, który przepowiadał, że «Wszyscy ludzie będą braćmi». Amen”². Przywołany przez Różewicza poeta to Fryderyk Schiller, a cytat pochodzi z jego ody *Do radości*: „O radości, iskro bogów, / Córo Elizejskich Pól, / Na świętości twojej progę / Śpiewa nam niebiański chór. / Twoja moc cudowna zaćmi / Zgubny podział, gorzkie łyzy; / Wszyscy ludzie będą braćmi, / Gdy twe skrzydło w locie lśni” (tłum. Andrzej Lam)³.

To zaoczne spotkanie z Tadeuszem Różewiczem jest dla mnie nie mniej prawdziwe od tych twarzą w twarz, gdyż podsumowuje wszystko, co się złożyło na życie i śmierć poety. Testament, jeśli na takie miano zasługuje, musi spadkobiercom ujawnić majątek spadkodawcy. Różewicz uznał za Schillerem, że jego majątkiem jest Radość.

² Za: <wroclaw.pl>.

³ Za: <kwartalnik-pobocza.pl>.

Jednak zaczęło się nie od radości, nie od Elizejskich Pól i jakiegokolwiek świętości, a już na pewno nie od niebiańskich chórów. Zaczęło się od przerażenia, śmiertelnego przerażenia: „jestem mordercą”. „Zwracam się do was kapłani / nauczyciele sędziowie artyści / szewcy lekarze referenci / i do ciebie mój ojciec / Wysłuchajcie mnie. // Nie jestem młody / niech was smukłość mego ciała / nie zwodzi / ani tkliwa biel szyi / ani jasność otwartego czoła / ani puch nad słodką wargą / ni śmiech cherubiński / ni krok elastyczny // nie jestem młody / niech was moja niewinność / nie wzrusza / ani moja czystość / ani moja słabość / kruchość i prostota // mam lat dwadzieścia / jestem mordercą / jestem narzędziem / tak ślepym jak miecz / w dłoni kata / zamordowałem człowieka / i czerwonymi palcami gładziłem / białe piersi kobiet. // Okaleczony nie widziałem / ani nieba ani róży / ptaka gniazda drzewa / świętego Franciszka / Achillesa i Hektora / Przez sześć lat / buchał z nozdrza opar krwi // Nie wierzę w przemianę wody w wino / nie wierzę w grzechów odpuszczenie / nie wierzę w ciała zmartwychwstanie” (*Lament*)⁴.

„Jestem mordercą” – mówi Różewicz, a przecież to nieprawda. Był partyzantem, żołnierzem Armii Krajowej, walczył z bronią w ręku w słusznej sprawie. Walczył też piórem, pisał patriotyczne wiersze, które jego towarzyszom walki dodawały otuchy. Co prawda nie tylko ja jestem mordercą – zdaje się mówić poeta – inni też, a rzeź trwała sześć lat i nie oszczędziła nikogo. Nikomu zabijanie innych nie uszło płazem. Wojna okaleczyła, to znaczy oślepiła swoje ofiary. Nie tylko katów, lecz także ich ofiary. Zabiła w nich wszystko, co dotychczas uważali za najcenniejsze: wiarę, nadzieję, miłość Boga i całej rzeczywistości, łącznie z nimi. Podmiot liryczny, a raczej sam Różewicz, mówi w *Lamencie*, że nie wierzy już przeszłości, w której miały dokonywać się wydarzenia na miarę cudu w Kanie Galilejskiej, nie wierzy w terażniejszość, to znaczy w możliwość oderwania się od dokonanego zła, grzechu i rozpoczęcia życia na nowo. Nie wierzy też przyszłości, którą symbolizuje w *Lamencie* wiara w zmartwychwstanie. Wszystko stracone.

„Mam dwadzieścia cztery lata / ocalałem / prowadzony na rzeź. [...] / Szukam nauczyciela i mistrza / niech przywróci mi wzrok słuch i mowę

⁴ T. Różewicz, *Poezje zebrane*, Wrocław 1976, s. 9.

/ niech jeszcze raz nazwie rzeczy i pojęcia / niech oddzieli światło od ciemności” (*Ocalony*)⁵. Wiersze *Lament* i *Ocalony* pochodzą z lat 1945-1946. Prowadzony na rzeź ocalał, ale ocalała też przeszłość, tkwiła w nim niczym harpun.

Myślę o bogu

Pod koniec lat osiemdziesiątych XX wieku Różewicz napisał wiersz pt. *Cierń*: „nie wierzę / nie wierzę od przebudzenia / do zaśnięcia // nie wierzę od brzegu do brzegu / mojego życia / nie wierzę tak otwarcie / głęboko / jak głęboko wierzyła / moja matka // nie wierzę / jedząc chleb / pijąc wodę / kochając ciało // nie wierzę / w jego świątyniach / kapłanach znakach / nie wierzę na ulicy miasta / w polu w deszczu / powietrzu / złocie zwiastowania // czytam jego przypowieści / proste jak kłos pszenicy / i myślę o bogu / który się nie śmiał // myślę o małym / bogu krwawiącym / w białych / chustach dzieciństwa / o cierniu który rozdziera / nasze oczy usta / teraz / i w godzinie śmierci”⁶.

„Nie wierzę”, a jednocześnie czytam Ewangelię i „myślę o bogu / który się nie śmiał”. Czyżby przez te cztery dekady „lament” przekształcił się w „cierń”, w coś, co nadal sprawia ból i cierpienie, nadal rani, ale w inny sposób niż wojna? Nie trzeba wiele, by zauważyć, że *Lament*, owszem, jest wyznaniem niewiary, ale jest też swoistą modlitwą, prośbą, paradoksalnie skierowaną do tych, którym autor przecież nie wierzy, po których nie spodziewa się, że znękanemu człowiekowi zechcą pomóc: „Zwracam się do was kapłani / nauczyciele sędziowie artyści / szewcy lekarze referenci / i do ciebie mój ojciec / Wysłuchajcie mnie”.

W wierszu *Cierń* poeta jakby się spowiada i nieśmiało oczekuje na rozgrzeszenie – „Okaleczony nie widziałem”. Jeśli tak, to *Lament*, na tyle, na ile jest deklaracją niewiary, na tyle samo jest również wyrazem niewystarczalności takiej postawy światopoglądowej jak niewiara, ateizm. W Ewangelii św. Marka ojciec przyprowadził do Jezusa chorego syna i prosił: „[...] jeśli coś możesz, zlituj się nad nami i pomóż nam”. Jezus mu odrzekł: „Jeśli możesz? Wszystko możliwe jest dla tego, kto wierzy”. Zaraz ojciec chłopca zawołał: „Wierzę, zaradz memu niedowiarstwu!” (Mk 9,

⁵ Tamże, s. 19.

⁶ Tamże, s. 652.

22-25). Parafrazując słowa ewangelicznego ojca, można powiedzieć, że i bohater wiersza Różewicza mówi podobnie: „Nie wierzę, pomóżcie mi w mojej niewierze, jeśli potraficie!”. Krótko mówiąc, Różewicz, tak jak nie dowierzał wierze, tak samo nie dowierzał i niewierze, tak jak wątpił w religię, tak samo wątpił i w ateizm. Czy zatem był agnostykiem? Człowiekiem, któremu wystarczyłoby przekonanie, że skoro „wiem” i „nie wiem” ważą tyle samo, to po co sobie czymś takim zawracać głowę?

Trochę polemicznie względem Zbigniewa Herberta i trochę humorystycznie, ale nie bez racji, w wierszu *Wiedza* Różewicz mówi: „*cogito* i *dubito* w jednym / stoją domku / pan *cogito* na górze / pan *dubito* na dole / doświadczeni życiem / zamieniają role / pan *dubito* na górze / pan *cogito* w dole / obaj jesteśmy starzy / i wiemy / nie wiadomo dlaczego / że musimy umrzeć // wiemy też / że najkrótsza droga do Boga / to Trwoga // mówiąc językiem kolokwialnym / jak trwoga to do Boga”⁷.

Różewicz w przeciwieństwie do Zbigniewa Herberta nie akcentuje, nie absolutyzuje *cogito*, czyli pewności, jaką daje poznanie filozoficzne, ale i religijno-teologiczne. Obok *cogito* stawia *dubito*, czyli wątplenie, pytanie, pełne niepokoju poszukiwanie. Więcej, pozwala *cogito* i *dubito*, pewności i niepewności, zamieniać się miejscami, gdyż i jedna droga poznawcza, i druga znajdą swój finał w czymś, co nie pasuje do niczego – w śmierci. A ponieważ jedynie człowiek wie, że musi umrzeć, to przeświadczenie napawa go strachem i zmusza do popatrzenia poza wszelki horyzont poznawczy, poza granice również serca.

Czesław Miłosz, drugi wielki, z którym Różewicz wiódł spór, dopowiada: „Religię bierzemy z naszego litowania się nad ludźmi. // Są za słabi, żeby żyć bez boskiej opieki. // Za słabi, żeby słuchać zgrzytliwego obrotu piekielnych kół. // Kto z nas pogodzi się z wszechświatem bez jednego głosu // Współczucia, litości, zrozumienia? // Człowieczeństwo oznacza zupełną obcość pośród galaktyk. // Dostateczny powód, żeby wspólnie z innymi wznosić świątynie niewyobrażalnego miłosierdzia”⁸.

⁷ T. Różewicz, *Wyjście*, dz. cyt., s. 77.

⁸ Cz. Miłosz, *Druga przestrzeń*, Kraków 2002, s. 78.

„«Mroźną mieliśmy podróż / Toż to najgorsza w roku pora / na wędrowanie, na tak daleką wędrówkę / Ogniska nocne gasnące, bezdomność / te miasta wrogie, grody nieprzyjazne, / te wioski brudne a drożące się... / czyli nas wiodła tak daleka droga / po Narodziny, czy po Śmierć?» [...] / mieliśmy rozmawiać o Bogu / przypomniałem / wiecie co odpowiedział Mickiewicz / francuskiemu pisarzowi / który zapraszał do swojego «Salonu» / na rozmowy o Bogu? // «o Bogu przy herbacie nie rozmawiam» // przecież to dużo mądrzejsze niż / powiedzenie Nietzschego «Bóg umarł» / albo Dostojewskiego «jeśli Boga nie ma / to wszystko wolno» // Hora est... powiedziała do nas Ciszka // Levinasa oddam Ci jeszcze / przed odlotem z Warszawy // Bóg jest modny Modny jest też absolut / Boga zapraszają do telewizji / Bóg Levinasa Bóg Bubera / Bóg Hegla Pascala Blocha / Heideggera Rosenzweiga / występuje między Telenowelą argentyńską kawą i / herbatą // Levinas myśli że Boga można / odmieniać przez przypadki / zamienili teologię na gramatykę // Levinas! / Levinas o tym że musi umrzeć / dowiaduje się od Jankelevitscha / jeśli Bóg jest filozofia jest niepotrzebna / filozofia Heideggera i Rosenzweiga // Hora est... rozległo się milczenie / (dalszego ciągu nie będzie) // ale Piotr poruszył wodę / i zacytował Hegla szeptem / po niemiecku... / «es ist der Schmerz, der sich / aus das harte Wort ausspricht / daß Gott gestorben ist»⁹.

Powyższy cytat został wzięty z poematu Tadeusza Różewicza pt. *Tempus fugit*. Początek tego utworu (pierwsza zwrotka) to cytat z *Podróży Trzech Króli* Thomasa Stearnsa Eliota. Z tą różnicą, że akcja *Tempus fugit* rozgrywa się nie na Bliskim Wschodzie i nie na początku naszej ery, ale w Warszawie pod koniec XX wieku, w mieszkaniu, w „pustelni brata Ryszarda”, czyli Ryszarda Przybylskiego, niedostępnej „dla bałwanów / pewnego / gatunku literatów”, „artystek”, gdzie również trzech mężczyzn (poza autorem i gospodarzem jest jeszcze Piotr Lahmann) rozmawia „o filozofii, historii, polityce”¹⁰. Rozmowa zmierza, wydawać by się mogło,

⁹ T. Różewicz, *Wyjście*, dz. cyt., s. 74. Przekład cytatu: „jest bólem, który znajduje swój wyraz w twardym powiedzeniu: «Bóg umarł»”; za: G.W.F. Hegel, *Fenomenologia ducha*, t. II, Warszawa 1965, s. 358.

¹⁰ Za: <wyborcza.pl>.

w stronę religii i teologii. Jednak nie, idzie głębiej, w kierunku wiary, a więc czegoś, z czego religia i teologia żyją, co poddają intelektualnej obróbce (teologia) albo próbują wprowadzić w życie, wyrazić w sobie dostępny sposób, w obrzędach i zwyczajach danej kultury (religia). W końcu Różewicz stwierdza: „jeśli Bóg jest filozofia jest niepotrzebna”.

Ten wers przypomina, a raczej parafrazuje powiedzenie Pompejusza: *Navigare necesse est, vivere non est necesse* („żeglowanie jest rzeczą konieczną, życie – niekonieczną”), co miało oznaczać, że dla sprawy, w tym przypadku dostarczenia zboża dla wygłodniałych mieszkańców Rzymu, warto poświęcić życie. Różewicz zaś mówi: konieczna jest wiara, bo bez niej religia i teologia nie zmierzają do właściwego portu. Stają się grą słowną, pewnie filozoficznie wyrafinowaną, ale tylko grą. Mówiąc jeszcze inaczej, jeśli nawet w początkach swojej twórczości Różewicz próbował wyzbyć się Boga, o tyle potem już nie walczył z Nim, ale z Jego wyobrazeniami i ludźmi, którzy swoje wyobrażenia biorą za dogmat.

Walka ta wygląda po różewiczowsku, lepiej powiedzieć: bardzo po ludzku i po chrześcijańsku. Sam, jako katolik, prosi przecież o pogrzeb dla siebie duchownego katolickiego i duchownego protestanckiego. W ten sposób daje do zrozumienia, że nawet jeśli dzielą nas religie, to nie musi nas wcale dzielić wiara, a więc zaufanie do Jezusa, Syna Człowieczego.

„Dostojewski mówił że / gdyby mu kazano wybierać / między prawdą i Jezusem / wybrałby Jezusa // zaczynam rozumieć / Dostojewskiego // rodziny życie śmierć / zmartwychwstanie Jezusa / są wielkim skandalem / we wszechświecie // bez Jezusa / nasza mała ziemia / jest pozbawiona wagi / ten Człowiek / syn boży / jeśli umarł // zmartwychwstaje / o świecie każdego dnia / w każdym kto go naśladuje”¹¹. Jeśli tak, jeśli Jezus zmartwychwstaje każdego poranka w tych, którzy żyją po bożemu, to znaczy, że również każdego dnia Jezus w nich żyje i umiera. Nie da się więc przeprowadzić granicy między ludzkim i boskim, nie da się oderwać serca od rozumu i odwrotnie, nie ma też co próbować zamykać świat w zawsze za ciasnych klatkach naszych pojęć i słów.

W wierszu *Czego byłoby żal* Tadeusz Różewicz mówi: „to co boskie / między ludzkimi istotami / ciągle poszukuje / swojego wyrazu // czego byłoby żal // «całego życia» / i jeszcze czegoś / ogromnego wspaniałego

¹¹ T. Różewicz, *Wyjście*, dz. cyt., s. 22.

/ poza słowem / poza ciałem¹². Skąd ta obawa o przyszłość, ten powód do żalu? Ów niepokój wzniera w nas codzienność. Ogrom zła zdaje się podważać wszelką nadzieję, że kiedykolwiek i gdziekolwiek może zaistnieć lepszy świat. Różewicz ma za sobą wojnę i znowu odzywa się w nim zadawniona rana, okaleczenie. Ocalony z rzezi ma aż nadto dowodów na wszechmoc zła i bezsilność dobra. Ocalony z rzezi czyta przypowieści Jezusa i już wie, gdzie szukać Boga Jezusa Chrystusa i Jego prawdziwych wyznawców.

Z wiersza *Widziałem Go* ucieszyłby się pewnie Biskup Rzymu Franciszek: „spał na ławce / z głową złożoną / na plastikowej torbie / płaszcz na nim był purpurowy / podobny do starej wycieraczki / na głowie miał czapkę uszatkę / na dłoniach fioletowe rękawiczki [...] / ubrany w trzy swetry / czarny biały i zielony / (a wszystkie straciły kolor) / spał spokojnie jak dziecko / poczułem w sercu swoim / (nie pomyślałem lecz poczułem) / że to jest Namiestnik / Jezusa na ziemi / a może sam Syn Człowieczy / chciałem go dotknąć / i zapytać / czy ty jesteś Piotr? // ale ogarnęło mnie / wielkie onieśmielenie / i oniemiałem [...] / chciałem go obudzić / i spytać raz jeszcze / co to jest prawda // pochyliłem się nad nim / i poczułem zepsuty oddech / z jamy / ustnej // a jednak coś mi mówiło / że to jest Syn Człowieczy // otworzył oczy // i spojrzał na mnie // zrozumiałem że wie wszystko // odchodziłem pomieszany / oddalałem się / uciekałem / w domu umyłem ręce¹³.

Wacław Oszajca SJ (ur. 1947), teolog, publicysta, poeta, wykładowca na Papieskim Wydziale Teologicznym Sekcji „Bobolanum” w Warszawie. Ostatnio opublikował: *Odwrócona perspektywa; Biblia na każdy dzień*.

¹² T. Różewicz, *Zawsze fragment*, Wrocław 1996, s. 88.

¹³ Tamże, s. 84.